

Desmond Bagley



Huragan

Tytuł oryginału: *Wyatt's Hurricane*

Copyright © Desmond Bagley
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-61-1

Arie Books Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB,
Espadon Publishing Sp. z o.o. oraz Arie Books Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Desmond Bagley

Huragan

Przekład: Jerzy Żebrowski

ARIE BOOKS
W A R S Z A W A 2 0 2 1

1

Samolot typu Super-Constellation leciał przy dobrej pogodzie na północny wschód, pozostawiając za sobą rozrzucone łukiem na morzu zielone wyspy, które zwano Małymi Antylami. Gdzieś za grubą linią widocznego nad Atlantykiem horyzontu czekało przeznaczenie: niebezpieczne rendez-vous w jachcie na północ od równika, w tej części Atlantyku, która jest między Północną Afryką a Południową Ameryką. Komandor porucznik Hansen nie znał tak naprawdę miejsca spotkania, nie wiedział także, kiedy tam dotrze. Znał jedynie rozkazy siedzącego za nim cywila. Brał już udział w wielu podobnych misjach i wiedział, czego od niego oczekują, odprężył się więc w fotelu i pozostawił prowadzenie Korganowi, swemu drugiemu pilotowi. Komandor porucznik służył od ponad dwunastu lat w marynarce Stanów Zjednoczonych. Płacono mu za to sześćset sześćdziesiąt dolarów miesięcznie – stanowczo za mało, biorąc pod uwagę pracę, którą wykonywał.

Był to jeden z najpiękniejszych samolotów, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Obsługiwał niegdyś z dumą komercyjne szlaki nad północnym Atlantykiem, dopóki nie usunęły go w cień szybsze odrzutowce i odszedł w odstawkę do czasu, aż okazał się przydatny, a teraz nosił insygnia marynarki Stanów Zjednoczonych i wydawał się bardziej sfatygowany niż przystoi wojskowej maszynie: krawędzie skrzydeł miał wklęsnięte i powyginane, umieszczany na dziobie emblemat w postaci uskrzydłonej chmury zniszczony i wytarty – ale samolot ten widział więcej specjalnych misji niż jego pilot, nic więc dziwnego, że był nie do zdarcia.

Wyatt spojrzał na niebo nad horyzontem i zobaczył na bladym tle pierwsze nikle pasemka pierzastych chmur.

Pstryknął palcami i odezwał się:

– Chyba się podnosi, Dave. Masz jakieś nowe rozkazy?

W słuchawkach rozległ się zagłuszony trzaskami głos:

– Sprawdź odczyt.

Hansen skrzyżował ręce na brzuchu, patrząc na gromadzące się w górze chmury. Niektórym oficerom marynarki byłoby może nie w smak, że muszą słuchać rozkazów cywila, a zwłaszcza kogoś, kto nie jest nawet Amerykaninem, ale Hansenowi to nie przeszkadzało. W tej robocie nie miała żadnego znaczenia czyjaś pozycja czy narodowość. Liczyło się jedynie, aby ludzie, z którymi leciszy, byli kompetentni i nie narażali cię na śmierć – w miarę swoich możliwości.

Za kabiną załogi znajdowało się obszerne pomieszczenie, w którym dawniej pasażerowie pierwszej klasy popijali bourbona i flirtowali ze stewardesami. Teraz było ono pełne sprzętu i ludzi. Od ściany do ściany piętrzyły się konsole urządzeń telemetrycznych, tworząc wystające cyple

i wysepki, tak więc dla trzech ludzi, wciśniętych w ten elektroniczny labirynt, pozostawało bardzo niewiele miejsca.

David Wyatt obrócił się na ruchomym krześle, uderzając silnie kolanem o krawędź konsoli dużego radaru. Skrzywiwszy się pomyślał, że już nigdy się tego nie nauczy, po czym potarł kolano dłonią i włączył odbiornik. Wielki ekran ożył, otaczając go tajemniczą zieloną poświatą. Przyglądał mu się z zawodowym zainteresowaniem. Zrobiwszy parę notatek, odszukał w torbie jakieś papiery, a potem wstał i ruszył w kierunku kabiny załogi.

Poklepał Hansena po ramieniu, unosząc kciuk w uspokajającym geście, po czym spojrzał przed siebie. Jedwabiste pasma szybujących wysoko cirrusów powędrowały ku górze, ustępując miejsca nad horyzontem niższej warstwie gładkich cirrostratusów. Wiedział, że tuż nad wypukłą krawędzią ziemi kryją się ciężkie i groźne nimbostratusy – zwiastuny deszczu. Spojrzał na Hansena.

– To jest to – oznajmił z uśmiechem.

– Nie ma powodu, żeby się tak cholernie cieszyć – odburknął Hansen.

Wyatt podsunął mu niewielki plik zdjęć.

– Tak to wygląda z góry.

Hansen przejrzał niewyraźne, zasmużone fotografie, które przekazał satelita meteorologiczny.

– Z Tirosa IX?

– Właśnie.

– Robią postępy. Są całkiem dobre – stwierdził Hansen. Porównał wielkość białej plamy ze skalą na brzegu zdjęcia. – Nie jest zbyt duży. Dzięki Bogu.

– Wielkość się nie liczy – powiedział Wyatt. – Ważny jest gradient ciśnienia. Dobrze o tym wiesz. Dlatego tu jesteśmy.

– Są jakieś zmiany w programie?

Wyatt pokręcił głową.

– To, co zwykle. Wchodzimy z wiatrem odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, podlatując coraz bliżej. Potem, gdy dotrzemy do kwadrantu południowo-zachodniego, kierujemy się do środka.

Hansen podrapał się po policzku.

– Postaraj się zrobić wszystkie pomiary za jednym razem. Nie chcę tego powtarzać. – Skinął głową za siebie. – Mam nadzieję, że twój sprzęt spiższe się lepiej niż ostatnio.

– Ja także – odparł Wyatt z grymasem na twarzy.

Machnął bez troski ręką i wrócił na tył maszyny, by sprawdzić odczyt dużego radaru. Wszystko było jak zwykle, bez żadnych anomalii. Mieli przed sobą jedynie typowe niebezpieczeństwa. Rzucił okiem na dwóch

podległych mu ludzi. Obaj byli oficerami marynarki, doświadczonymi specjalistami, którzy znali obsługiwany sprzęt. Obaj brali już udział w podobnych misjach i wiedzieli, czego się spodziewać. Sprawdzali właśnie pasy bezpieczeństwa, aby się upewnić, czy nie będą ich ocierać, gdy zostaną nagle naprężone.

Wyatt wrócił na swoje miejsce i przypiął się do fotela. Kiedy zatrzasnął dźwignię, która blokowała jego obroty, przyznał wreszcie w duchu, że się boi. Na tym etapie operacji zawsze odczuwał strach – większy, był tego pewien, niż ktokolwiek na pokładzie. Wiedział bowiem o huraganach więcej nawet niż Hansen. Zajmował się nimi zawodowo, stanowiły jego życiową pasję i znał niszczycielską siłę wiatru, który miał wkrótce zaatakować samolot, próbując go rozbić. Pojawiło się też coś jeszcze, pewien nowy element. Od chwili, gdy na Cap Sarrat zobaczył na zdjęciach satelitarnych białą plamę, miał wrażenie, że zbliża się huragan o wyjątkowej sile. Nie było to coś, co mógłby poddać analizie czy przelać na papier w postaci beznamiętnych symboli i formuł nauk meteorologicznych, a jedynie wyraźne przeczucie.

Tym razem bał się więc bardziej niż zwykle.

Wzruszył ramionami i zabrał się do pracy, gdy w samolot uderzył pierwszy słaby podmuch wiatru. Zielona plama na ekranie radaru odpowiadała dokładnie tej ze zdjęć satelitarnych. Wyatt włączył urządzenie rejestrujące, które zapisywało wszystkie dane na zwiniętym pasku plastikowej taśmy magnetycznej, aby główny komputer skorelował je z mającymi wkrótce napłynąć innymi informacjami.

Hansen wpatrywał się w ciemność przed samolotem. Oleiste, czarne nimbostratusy kłębiły się w podmuchach wiatru, grupując się ciągle i rozpadając na strzępy. Hansen obdarzył Morgana wymuszonym uśmiechem.

– No to do roboty – powiedział, robiąc delikatny skręt w prawo.

Przepustnica znajdowała się w takiej pozycji, że lecąc przy bezwietrznej pogodzie maszyna powinna była rozwijać czterysta dwadzieścia kilometrów na godzinę i tyle wskazywał miernik prędkości lotu, ale Hansen mógłby się założyć, że z powodu wiejącego od tyłu wiatru ich prędkość względem ziemi zbliżała się do pięciuset kilometrów na godzinę.

Na tym polegała trudność jego pracy. Przyrządy nie dawały prawidłowego odczytu, a nie było szans, żeby je skorygować, spoglądając na ziemię, bo gdyby nawet rozstały się chmury – co nigdy się nie zdarzało – przysłądanie się jednostajnym przestworzom oceanu nie miało sensu.

Nagle samolot zaczął spadać jak kamień, porwany przez zstępujący prąd powietrza. Hansen borykał się ze sterami, obserwując wirującą w szaleńczym tempie strzałkę wysokościomierza. Udało mu się wyrównać lot, po czym skierował maszynę ku górze, chcąc wrócić na poprzedni pułap. Zanim jednak pojął, co się dzieje, samolot trafił na równie gwałtowny

wstępujący prąd i Hansen musiał pchnąć drążek steru do przodu, aby uniknąć spadku z wierzchołka powietrznego komina.

Przez utwardzone szkło widział w błękitnym świetle błyskawic niesiony ku górze deszcz i grad. Spojrzawszy w tył zauważył przy końcówce skrzydła świetlisty błysk w kształcie roziskrzonej choinki i zrozumiał, że uderzył w nich piorun. Wiedział jednak również, że nie ma to znaczenia. W metalu pozostanie jedynie mała dziurka, którą zalutują mechanicy, i nic więcej – jeśli nie liczyć faktu, że samolot i wszystko, co się w nim znajdowało, zostało naładowane napięciem kilku tysięcy voltów, którego trzeba będzie pozbyć się przy lądowaniu.

Ostrożnie wprowadzał maszynę coraz głębiej w rejon burzy, lecąc po spiralnym kursie i szukając silniejszego wiatru. Pioruny uderzały teraz niemal bez przerwy, a trzaski bliskich wyładowań zagłuszały hałas silników. Hansen włączył mikrofon pod brodą i krzyknął do mechanika pokładowego:

– Meeker, wszystko w porządku?

Meeker odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

– Wszyst... rzędu. – Połowy zdania nie było słyhać z powodu zakłóceń.

– Tak trzymaj! – krzyknął Hansen i zaczął dokonywać w pamięci obliczeń. Na podstawie zdjęcia satelitarnego szacował średnicę obszaru huraganu na 480 kilometrów, co dawałoby w obwodzie około 1500 kilometrów. Aby dotrzeć do kwadrantu południowo-zachodniego, gdzie wiatr był najslabszy i skąd dałoby się najbezpieczniej wlecieć do środka, musiałby przebyć trzecią część drogi po okręgu – powiedzmy, jakieś 370 kilometrów. Wskaźnik prędkości lotu ulegał teraz zbyt dużym wahaniom, by mógł się na coś przydać, ale z doświadczenia ocenił swoją prędkość względem ziemi na nieco ponad 300 węzłów, czyli około 560 kilometrów na godzinę. Byli w rejonie burzy od prawie trzydziestu minut, pozostawiało więc jeszcze pół godziny do miejsca, gdzie należało zmienić kierunek.

Na czole pojawiły mu się krople potu.

Siedzący w pomieszczeniu z aparaturą Wyatt czuł, jak dostaje w kość i wiedział, że kiedy wróci do Cap Sarrat i zdejmie ubranie, zobaczy pręgi w miejscach, gdzie pasy wbijały mu się w ciało. Silne, funkcjonalne światło przygasało i migotało, gdy pioruny uderzały w samolot i przeciążały chwilowo obwody. Wyatt miał nadzieję, że przyrządy wytrzymają ten napór.

Rzucił okiem na pozostałych dwóch mężczyzn. Smith siedział przygarbiony w fotelu, wprawnym kołysaniem reagując na przechyły samolotu i od czasu do czasu kręcił galką. Był w dobrej formie. Twarz Jablonsky'ego przybrała zielonkawą barwę i Wyatt spostrzegł, jak odwraca się i gwałtownie

nie wymiotuje. Szybko się jednak pozbierał i zajął swoją robotą. Wyatt lekko się uśmiechnął.

Spojrzał na wmontowany w pulpit zegar i zaczął liczyć. Kiedy skierują się w stronę centrum huraganu, będą musieli przelecieć nieco ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, aby dotrzeć do jego „oka”, owego tajemniczego obszaru ciszy w samym środku rozszalałego żywiołu. Napotkają gwałtowny boczny wiatr i czeka ich ciężki lot, który, jak oceniał Wyatt, potrwa prawie trzy kwadranse. Potem jednak będą mogli trochę popróżnować i złapać oddech, zanim znów rzucą się w wir walki. Hansen pokonuje przez piętnaście minut w tej zdumiewającej ciszy, gdy Wyatt będzie wykonywał swoją robotę. Wszyscy pomasują trochę obolałe ciała i przygotowują się do powrotnego lotu.

Od chwili, gdy skierują się do centrum, zaczną pracować wszystkie urządzenia, rejestrując ciśnienie powietrza, wilgotność, temperaturę i wszelkie inne parametry, które pozwalają scharakteryzować najsilniejszy na świecie wiatr. A przelatując przez obszar huraganu zrzucą coś, co Wyatt nazywał na własny użytek „ładunkiem bomb”: nadwyzczaj skomplikowane zestawy urządzeń pomiarowych, spuszczone w rejon burzy. Niektóre, zanim opadną, kołyszą się przez godzinę na wietrze, inne zlatują w dół i unoszą się na wzburzonym morzu, jeszcze inne zanurzają się na określonej głębokości poniżej poziomu fal. Wszystkie wysyłają jednak sygnały radiowe, które odbiera w samolocie i rejestruje na taśmie skomplikowana aparatura odbiorcza.

Usiadł wygodnie w fotelu i zaczął mówić do umieszczonego przy podbódku mikrofonu, który podłączony był do niewielkiego dyktafonu. Miał nadzieję, że odsłuchując w bazie nagranie zdoła wyłuskać własny głos z kakofonii odgłosów burzy.

Pół godziny później Hansen skierował maszynę w stronę centrum huraganu, dając Wyattowi znak brzęczykiem. Natychmiast odczuł różnicę w intensywności siły wiatru, który atakował samolot. Kakofonię wzbogacił nowy zestaw dźwięków i stery zaczęły reagować inaczej. Maszyna stała się trudniejsza w prowadzeniu przy wiejących z boku wiatrach, które, jak się orientował, osiągały zapewne prędkość dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Samolot opadał w dół i szarpał, a Hansena rozboleły ręce od ciągłego korygowania lotu. Żyrokompas dawno wysiadł, zaś róża busoli magnetycznej obracała się gwałtownie pod czaszą.

Wyatt i jego załoga mieli pełne ręce roboty. Ogłuszeni zabójczym hałasem i wstrząsani niczym kostki do gry wewnątrz kubka, mimo wszystko nie przerywali pracy. Kapsuły z przyrządami zrzucano precyzyjnie w regularnych odstępach czasu, a informacje, które zaczynały one natychmiast przekazywać drogą radiową, rejestrowano na 32-ścieżkowych taśmach o szerokości jednego cala. Smith i Jablonsky czuwali nad nimi pieczołowi-

cie. W przerwach między zrzucaniem kapsuł Wyatt kontynuował nagrywanie na własnym magnetofonie doraźnych komentarzy. Zdawał sobie sprawę, że są to subiektywne obserwacje, których nie wykorzysta do poważnych analiz, chciał jednak mieć je na prywatny użytek i porównać potem z danymi liczbowymi.

Nagle poczuł ulgę, słysząc jak niemal w jednej chwili wszystko ucichło i zrozumiał, że znaleźli się w oku cyklonu. Samolot przestał szarpać i wydawało się, że płynie w powietrzu. W porównaniu z odgłosami burzy ryk silników brzmiał jak najbardziej kojący dźwięk, jaki Wyatt kiedykolwiek słyszał. Sztywnymi palcami odpiął pasy i spytał:

– Jak idzie?

Smith machnął ręką.

– Normalka. Z czwórki brak odczytów wilgotności. Z szóstki nie ma temperatury powietrza, a z siódemki temperatury morza. – Zrobił skwaszoną minę.

– Trójka nawet nie pisnęła, a obciążniki w ogóle nie zadziałały.

– Niech je cholera! – zaklął z pasją Wyatt. – Zawsze mówiłem, że ten system jest zbyt skomplikowany. A jak u pana, Jablonsky? Co z bezpośrednimi odczytami?

– U mnie wszystko gra – odparł Jablonsky.

– Oby tak dalej – stwierdził Wyatt. – Idę do kapitana.

Przeszedł do kabiny załogi, gdzie zastał Hansena przy masowaniu ramion, podczas gdy Morgan pilotował samolot, który zataczał ciasny krąg. Wyatt uśmiechnął się blade.

– Diabelskie nasienie – stwierdził Hansen. – Jak dla mnie, za dużo wrażeń. A co u ciebie?

– Typowe awarie, jak było do przewidzenia. Poza tym zawiodły wszystkie obciążniki.

– A czy kiedykolwiek działały?

Wyatt smętnie się uśmiechnął.

– Trochę za dużo wymagam, prawda? – stwierdził. – Zrzucamy do morza w samym centrum huraganu bardzo skomplikowany ładunek, aby osiadł na określonej głębokości. Nadaje on za pomocą sonaru sygnał, który ma zostać przechwycony przez równie skomplikowane urządzenie na powierzchni, przekształcony w fale radiowe i przekazany do nas. W tym łańcuchu jest o jedno ogniwo za dużo. Kiedy wrócę, napiszę raport. Wrzucamy do morza zbyt dużo pieniędzy, w zamian za niewielkie zyski.

– Byliśmy wrócili – powiedział Hansen. – Najgorsze jeszcze przed nami. Nigdy dotąd nie spotkałem w południowo-zachodnim kwadrancie tak silnych wiatrów, a na północy będzie bez porównania gorzej.

– Jeśli chcesz, dalszy ciąg możemy sobie odpuścić – zaproponował Wyatt. – Możemy odlecieć tak samo, jak przylecieliśmy.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł – odparł bez ogródek Hansen. – Ale nie mamy paliwa, żeby znowu lecieć naokoło. Będziemy się więc przedzierać najkrótszą drogą i możesz zgodnie z planem wyrzucić resztę ładunku; ale lot będzie piekielnie ciężki. – Podniósł wzrok. – To wyjątkowo silny huragan, Dave.

– Wiem – odparł rzeczowo Wyatt. – Daj znać, kiedy będziesz gotów lecieć dalej. – Powiedziawszy to, wrócił do pomieszczenia z aparaturą.

Brzęczyk odezwał się już po pięciu minutach i Wyatt zdał sobie sprawę, że Hansen jest naprawdę zdenerwowany, gdyż zwykle pozostawał w oku cyklonu o wiele dłużej. Pospieszenie zamocował pasy i napiął mięśnie, aby odeprzeć atak. Hansen miał rację: był to wyjątkowo potężny huragan, o niewielkim zasięgu, ale groźny i bezlitosny. Wyatt zastanawiał się, jaka różnica ciśnień mógł wywoływać tak silne wiatry.

O ile to, przez co przechodzili wcześniej, można by nazwać czyścem, teraz przeżywali istne piekło. Cały szkielet samolotu trzeszczał i jęczał z bólu pod ciosami, które otrzymywał. Poszycie zaczęło pękać w kilkunastu miejscach i Wyatt obawiał się przez chwilę, że tego już będzie za wiele, że mimo specjalnego wzmocnienia skrzydła oderwą się, a kadłub runie do wzburzonego morza. Dokuczał mu spływający po szyi strumień wody, zdołał jednak pozbyć się pozostałych kapsuł, wyrzucając je, tak jak przedtem, w precyzyjnie określonych odstępach czasu.

Hansen borykał się niemal przez godzinę z potężnym wiatrem i właśnie w chwili, gdy pomyślał, że dłużej już tego nie znieśie, samolot został wyrzucony z chmur, wypłuty z nich w taki sposób, w jaki człowiek wypłuka pestkę pomarańczy. Hansen dał znak Morganowi, by przejął stery i, całkowicie wyczerpany, opadł na fotel.

Kiedy ataki wiatru osłabły, Wyatt zaczął robić bilans. Aparatura Jablonskiego została w połowie uszkodzona, a wskazówki przyrządów znajdowały się na zerze. Działały na szczęście taśmy, więc nie wszystko było stracone. Raport Smitha okazał się jeszcze smutniejszy: tylko trzy spośród kilkunastu kapsuł przekazywały sygnały, a i te zamilkły nagle w połowie lotu, kiedy urządzenie rejestrujące zostało w powodzi iskier dosłownie wyrwane z podstawy i taśmy przestały pracować.

– Nic nie szkodzi – stwierdził filozoficznie Wyatt. – Przynajmniej my wyszliśmy z tego cało.

Jablonski stał wodę z powierzchni konsoli.

– To było cholernie nieprzyjemne. Jeszcze jeden taki lot i poszukam sobie roboty na ziemi.

– Ja razem z tobą – mruknął Smith.

Wyatt szeroko się do nich uśmiechnął.

– Małe szanse, żebyście trafili szybko na coś podobnego – oznajmił. – To był najgorszy huragan, jaki widziałem w czasie moich dwudziestu trzech wypraw.

Poszedł w kierunku kabiny załogi, a Jablonsky patrzył w ślad za nim.

– Dwadzieścia trzy wyprawy! Ten facet musi mieć źle w głowie. Ja mam limit dziesięciu lotów; zostały mi już tylko dwa.

Smith potarł z namysłem podbródek.

– Może on szuka śmierci? No wiesz, aspekt psychologiczny i tak dalej. A może to miłośnik huraganów. Jedno jest pewne: ma charakter. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś okazywał tyle spokoju.

W kabinie załogi Hansen oznajmił ze znużeniem:

– Mam nadzieję, że zdobyłeś wszystko, czego potrzebowałeś. Nie chciałbym znów przez to przechodzić.

– Powinno nam wystarczyć – odparł Wyatt. – Ale powiem ci na sto procent, gdy wrócimy do domu. Kiedy to będzie?

– Za trzy godziny – odparł Hansen.

Nagle w równomiernym huku maszyny nastąpiła jakaś zmiana i z lewego zewnętrznego silnika wystrzeliła smuga czarnego dymu. Hansen sięgnął błyskawicznie do dźwigni przepustnicy, a następnie ustawił śmigło w chorągiewkę.

– Meeker! – krzyknął. – Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia – odparł Meeker. – Ale silnik jest chyba załatwiony na resztę lotu. Ciśnienie oleju zupełnie spadło. – Zamilkł na chwilę. – Już jakiś czas temu miałem z nim problemy, ale uznałem wtedy, że nie będzie pan miał ochoty tego słuchać.

Hansen wydał policzki i ciężko westchnął.

– Chryste! – powiedział z namaszczeniem i wcale nie zabrzmiało to jak bluźnierstwo. Potem spojrzał na Wyatta, mówiąc: – Więc potrzebujemy ze cztery godziny.

Wyatt skinął lekko głową i oparł się o przepierzenie. Teraz, gdy było już po wszystkim, poczuł, jak rozkurcza mu się żołądek i uświadomił sobie, że drży na całym ciele.

2

Wyatt siedział przy biurku, odprężony przynajmniej fizycznie, jeśli nie psychicznie. Był dopiero wczesny poranek i słońce nie przygrzewało jeszcze z taką siłą, jak w ciągu dnia, wszystko wyglądało więc świeżo i rześko. Wyatt czuł się dobrze. Wróciwszy poprzedniego dnia po południu dopił nowal, by bezcenne taśmy dotarły do chłopaków z ośrodka komputero-

wego, a potem pogрузił się z niewysłowioną ulgą w gorącej kąpieli, która wyciągnęła cały ból z jego zmaltretowanego ciała. Wieczorem zaś wypił z Hansenem parę kufla piwa.

Teraz, w świeżym blasku poranka, czuł się wypoczęty i z chęcią przystępował do pracy, chociaż przysunawszy do siebie zapisane gęsto zestawienia liczb, myślał bez entuzjazmu o faktach, które miał odkryć. Pracował sumiennie przez całe rano, zamieniając suche liczby w zwykłe linie na mapie – szkic rzeczywistości, wyobrażenie huraganu. Kiedy skończył, spojrzał na wykres obojętnym wzrokiem, po czym przypiął go starannie do dużej tablicy na ścianie swego biura.

Zaczął właśnie wypełniać formularz, gdy zadzwonił telefon. Usłyszawszy znajomy głos poczuł mocniejsze bicie serca.

– Julie! – zawołał. – Co tu robisz, u licha?

Nawet w słuchawce jej głos brzmiał ciepło.

– Mam tygodniowy urlop – odparła. – Byłam w Portoryko i znajomy podrzucił mnie samolotem.

– Gdzie teraz jesteś?

– Zameldowałam się właśnie w hotelu Imperiale. Zostaję tu, ale mój Boże, cóż to za lokal!

– Nie mamy nic lepszego, dopóki nie zjawi się u nas Conrad Hilton. A jeśli ma choć trochę rozumu, nie zrobi tego – stwierdził Wyatt. – Przykro mi. Niestety, nie bardzo mogę zaprosić cię do bazy.

– Nic nie szkodzi – odparła Julie. – Kiedy cię zobaczę?

– Niech to diabli! – powiedział z rozpaczą Wyatt. – Niestety, przez cały dzień będę uwiązany. To musi być wieczorem. Co powiesz na wspólną kolację?

– No dobrze – zgodziła się. Wyatt odniósł wrażenie, że jest nieco rozczarowana. – Może pójdziemy do klubu Maraca, jeśli jeszcze funkcjonuje.

– Nadal działa, chociaż tylko Eumenides wie, jakim cudem. – Wyatt spojrzał na zegar. – Posłuchaj, Julie. Jeżeli mam zrobić sobie wolny wieczór, muszę odwalić kawał roboty. Zwaliło mi się teraz na głowę mnóstwo pracy.

Julie roześmiała się.

– W porządku. Żadnych plotek przez telefon. Lepiej poczekać, aż się spotkamy. Do zobaczenia wieczorem.

Odwiesiła słuchawkę, a Wyatt odłożył powoli swój jednocześnie telefon, po czym obrócił się na fotelu w stronę okna, przez które widać było położone za Zatoką Santego miasto St. Pierre. „Julie Marlowe!”, pomyślał zdumiony. „Coś takiego!” Dostrzegł hotel Imperiale wśród konturów miasta St. Pierre i na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

Nie znali się długo, bynajmniej. Była stewardesą na linii łączącej Florydę z Karaibami i przedstawił ich sobie przyjaciel Hansena, pilot samolotów pasażerskich. Póki się spotykali, wszystko dobrze się układało. San Fernandez leżało na trasie jej regularnych lotów i Wyatt widywał ją dwa razy w tygodniu. Przez trzy miesiące dobrze się bawili, a potem nagle wszystko się skończyło, gdy linie lotnicze doszły do wniosku, że władze San Fernandez, a zwłaszcza prezydent Serrurier, za bardzo utrudniają im życie i skreśliły St. Pierre z rozkładu lotów.

Wyatt zamyślił się. To było dwa lata temu – nie, raczej trzy. Początkowo regularnie do siebie pisywali, ale z biegiem czasu listy zaczęły nadchodzić rzadziej i stawały się coraz krótsze. Trudno przyjaźnić się korespondencyjnie, zwłaszcza mężczyźnie i kobiecie, spodziewał się więc w każdej chwili wiadomości o jej zaręczynach – albo małżeństwie – i w taki sposób wszystko by się skończyło. Przemawiały za tym wszelkie praktyczne względy.

Przechyliwszy głowę spojrzał na zegar, po czym obrócił się na fotelu w stronę biurka i przysunął do siebie formularz. Skończył go prawie wypełniać, gdy zjawił się Schelling, starszy meteorolog marynarki z bazy na Cap Sarrat.

– To najnowsze materiały z Tiroso na temat pańskiego pupilka – oznajmił, rzucając na biurko plik fotografii.

Gdy Wyatt sięgnął po nie, Schelling dodał:

– Hansen mówi, że nieźle oberwaliście.

– Wcale nie przesadził. Niech pan na to spojrzysz. – Wyatt wskazał ręką zawieszoną na ścianie mapę.

Schelling podszedł do tablicy i ściągnąwszy wargi gwizdnął z podziwu.

– Jest pan pewien, że aparatura działała jak należy?

Wyatt stanął obok niego.

– Nie ma powodu w to wątpić – odparł, wskazując palcem mapę. – Osiemset siedemdziesiąt milibarów w oku cyklonu. To najniższe ciśnienie, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem.

Schelling zlustrował mapę fachowym okiem.

– Wysokie ciśnienie na zewnątrz, 1040 milibarów.

– Gradient ciśnienia 170 milibarów na przestrzeni niecałych 240 kilometrów – to oznacza bardzo silne wiatry. – Wyatt wskazał na północną strefę huraganu. – Zgodnie z teorią, prędkość wiatru powinna wynosić w tym miejscu do 270 kilometrów na godzinę. Przeleciawszy tamtędy nie mam powodu w to wątpić. Hansen również.

– To potężny huragan – stwierdził Schelling.

– Owszem – przytaknął krótko Wyatt i usiadł, aby przyjrzeć się zdjęciom z Tiroso. Schelling patrzył mu przez ramię. – Jego zasięg trochę się chyba zmniejszył – powiedział Wyatt. – To dziwne.

– Tym gorzej – oznajmił ponuro Schelling, kładąc dwa zdjęcia jedno przy drugim. – Nie przesuwają się jednak zbyt szybko.

– Wyliczyłem, że przemieszcza się z prędkością trzynastu kilometrów na godzinę; jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów dziennie. Lepiej to sprawdzić, bo sprawa jest ważna. – Wyatt wyciągnął z biurka kalkulator i sprawdzwszy zapisane na fotografii liczby zaczął stukać w klawisze. – Mniej więcej się zgadza. W ciągu ostatniej doby pokonał prawie trzysta dwadzieścia kilometrów.

Schelling wydał policzki i wypuścił powietrze z wyrazem ulgi.

– To jeszcze nie najgorzej. W tym tempie potrzebuje następnych dziesięciu dni, żeby dotrzeć do wschodnich wybrzeży Stanów, a huragan nie trwa zwykle dłużej niż tydzień. Musiałby się poza tym przesuwać po linii prostej, a tak nie będzie. Siła Coriolisa skieruje go po typowej paraboli na wschód i przypuszczam, że straci impet gdzieś nad północnym Atlantykiem, jak większość cyklonów.

– Nie zgadzają się tu dwie rzeczy – stwierdził beznamyślnie Wyatt. – Nie ma gwarancji, że huragan nie zacznie się przemieszczać szybciej. Trzysta kilometrów na godzinę to cholernie mało jak na prędkość cyklonu w tym rejonie świata. Średnia wynosi dwadzieścia cztery kilometry. Jest więc bardzo prawdopodobne, że potrwa wystarczająco długo, żeby dotrzeć do Stanów. Jeśli chodzi o zjawisko Coriolisa, na huragan wpływa ją siła, które skutecznie je niwelują. Przypuszczam, że występujący na dużej wysokości prąd strumieniowy może w niemałym stopniu wpływać na zmianę kierunku huraganu, a na temat powstawania tych prądów wiemy cholernie mało.

Schelling znów miał niewyraźną minę.

– W Instytucie Meteorologicznym nie będą tym zachwyceni. Ale lepiej ich zawiadomić.

– To już osobna kwestia – stwierdził Wyatt, podnosząc formularz z blatu biurka. – Nie zamierzam się podpisywać pod tym najnowszym wymysłem gryzipiórków. Proszę spojrzeć na ostatni punkt: „Czas trwania i przyszły kierunek huraganu”. Nie jestem wróżbitą i nie korzystam ze szklanej kuli.

Schelling prychnął, okazując zniecierpliwienie.

– Oczekują jedynie prognozy opartej na standardowych, teoretycznych przesłankach. To ich zadowoli.

– Naszą teoretyczną wiedzę nie da się wypełnić nawet kieliszka do jajek – stwierdził Wyatt. – Przynajmniej tego rodzaju teoriami, jakimi dysponujemy. Jeśli wpiszemy prognozę w ten formularz, wówczas jakiś urzędnik

w Instytucie Meteorologicznym potraktuje ją jak dogmat; skoro naukowcy tak twierdzą, musi tak być; i wielu ludzi może stracić życie, gdyby rzeczywistość rozminęła się z teorią. Niech pan sobie przypomni huragan Ione z 1955 roku: w ciągu dziesięciu dni siedmiokrotnie zmieniał kierunek i w końcu dotarł aż do ujścia rzeki Św. Wawrzyńca w Kanadzie. W instytucie meteo wszyscy uwijali się jak w ukropie, a huragan za cholerę nie pasował do żadnej teorii. Nie mam zamiaru podpisywać tego formularza.

– W porządku, ja to zrobię – powiedział z rozdrażnieniem Schelling. – Jak nazywa się ten huragan?

Wyatt zajął do wykazu.

– W tym roku mieliśmy ich już sporo. Poprzedni nazywał się Laura, więc teraz kolej na Mabel. – Podniósł wzrok. – Aha, jeszcze jedna sprawa. Co będzie z Wyspami?

– Z Wyspami? Och, jak zwykle wyśle się tam ostrzeżenie.

Kiedy Schelling odwrócił się i wyszedł z biura, Wyatt popatrzył za nim wzrokiem wyrażającym coś w rodzaju odrazy.

3

Tego wieczoru Wyatt przejechał dystans dwudziestu czterech kilometrów wokół zatoki Santego do St. Pierre, stolicy wyspy San Fernandez. Nie była to wielka stolica, ale i wyspa nie należała do największych. Prowadząc wóz w zapadającym zmroku mijał znajome plantacje bananów i ananasów oraz równie dobrze mu znane sylwetki widocznych przy drodze tubylców – obdartych mężczyzn w brudnych bawełnianych koszulach i niebieskich dżinsach, kobiet ubranych kolorowo w kwieciste sukienki i jasne chusty. Swoim zwyczajem wszyscy śmiali się i trajkotali, a ich białe zęby i błyszczące ciemne twarze lśniły w świetle zachodzącego słońca. Jak zwykle nie mógł zrozumieć, dlaczego wydawali się zawsze tacy szczęśliwi.

Niewiele mieli po temu powodów. Niemal wszyscy cierpieli straszną biedę, która gnębiła wyspę z powodu przeludnienia i niewłaściwego użytkowania ziemi. Dawniej, w osiemnastym wieku, istniały na San Fernandez bogate uprawy cukru i kawy, o które walczyły między sobą kolonialne mocarstwa Europy. Ale w stosownym momencie, gdy właściciele plantacji byli zajęci czym innym, niewolnicy wznieśli powstanie i wzięli swe losy we własne ręce.

Może dobrze się stało, a może nie. Co prawda niewolnicy odzyskali wolność, ale cała seria krwawych wojen domowych, które rozniecali walczący o władzę bezwzględni ludzie, zniszczyła ekonomiczną potęgę San Fernandez, a przyrost ludności dokonał reszty. Ciemne chłopstwo pozostało

w nędzy, uprawiając skąpe skrawki ziemi i stosując głównie handel wymienny. Wyatt słyszał, że niektórzy mieszkańcy centralnych, górzystych obszarów nigdy w życiu nie widzieli pieniędzy.

Na początku dwudziestego wieku wydawało się, że sytuacja uległa poprawie. Stabilny rząd przyciągnął zagraniczne inwestycje, kawę zastąpiły banany i ananasy, a trzcinę cukrową zaczęto uprawiać na ogromnych obszarach. To były dobre czasy. Co prawda na plantacjach Amerykanów zarabiano się niewiele, ale za to regularnie, a dopływ pieniędzy na wyspę zapewniał jej rozwój. Wtedy właśnie powstał hotel Imperiale, a St. Pierre rozbudowało się poza granice Starego Miasta.

Ale wyspa San Fernandez najwyraźniej tkwiła w sidłach swej własnej historii, która musi się powtarzać. Po drugiej wojnie światowej nastał Serrurier, samowładca Czarna Gwiazda Antyli, który przejął władzę w wyniku krwawej rewolucji i utrzymywał ją za pomocą równie krwawych rządów, odwołując się do stronnich sądów, zabójstw i siły armii. Nie miał przeciwników – wszystkich wymordował. Na wyspie istniała tylko jedna władza: czarna pięść Serruriera.

A jednak ludzie potrafili się śmiać.

St. Pierre było miastem w ruinie, pełnym budynków z tandetnej cegły, pordzewiałego żelastwa, sypiących się tynków i przenikającego wszystko zapachu, na który składał się fetor zgniłych owoców, zepsutych ryb, odchodów ludzi i zwierząt, a nawet gorsze jeszcze wonie. Odór ten był wszechobecny. W uboższych dzielnicach miasta czasem aż wiercił w nosie, a czuło się go wyraźnie nawet w holu hotelu Imperiale, który był rozpływającym się świadectwem lepszych czasów.

Kiedy Wyatt zajrzał do słabo oświetlonego pomieszczenia, zorientował się po panującym półmroku, że miejska elektrownia znowu ma kłopoty i dopiero gdy Julie pomachała do niego ręką, rozpoznał ją w ciemności. Podeszedłszy bliżej zastał ją przy stole z jakimś mężczyzną. Odczuł nagle niezrozumiałe przynębnienie, które jednak minęło, gdy usłyszał ciepły ton jej głosu.

– Cześć, Dave. Wspaniale, że znowu się spotykamy. To jest John Causton. Też się tu zatrzymał. Leciał razem ze mną z Miami do San Juan, a teraz znów na siebie wpadliśmy.

Wyatt stał niepewnie, czekając, aż Julie poprosi Caustona, by zostawił ich samych, ale ponieważ nic nie powiedziała, przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Panna Marlowe wszystko mi o panu opowiedziała – odezwał się Causton – i jest coś, co mnie intryguje. Jakim cudem Anglik pracuje dla marynarki Stanów Zjednoczonych?

Wyatt zerknął na Julie i zanim odpowiedział na pytanie zmierzył wzrokiem Caustona. Był to niski, krępy mężczyzna o kwadratowej twarzy. Miał

siwiejące na skroniach włosy i bystre brązowe oczy. Sądząc z akcentu, sam był z Anglii, choć jego garnitur z Palm Beach mógł wprowadzić człowieka w błąd.

– Przede wszystkim nie jestem Anglikiem – stwierdził spokojnie Wyatt.
– Pochodzę z Karaibów. Rozumie pan, nie wszyscy mamy ciemną skórę. Urodziłem się na wyspie St. Kitts, spędziłem dzieciństwo na Grenadzie, a w Anglii chodziłem do szkoły. A co do marynarki Stanów Zjednoczonych, nie pracuję dla nich, tylko z nimi; jest w tym pewna różnica. Zostałem wypożyczony z Instytutu Meteorologii.

Causton uprzejmie się uśmiechnął.

– To wszystko wyjaśnia.

Wyatt spojrzał na Julie.

– Masz ochotę na drinka przed kolacją?

– Świetny pomysł. Co się pija na San Fernandez?

– Może pan Wyatt pokaże nam, jak się przyrządza tutejszy „poncz plantatora” – powiedział Causton z figlarnym błyskiem w oczach.

– O tak, proszę! – zawołała Julie. – Zawsze chciałam napić się „ponczu plantatora” we właściwym otoczeniu.

– Moim zdaniem jest przereklamowany – stwierdził Wyatt. – Osobiście wolę szkocką. Ale skoro chcecie spróbować, bardzo proszę. – Wezwał kelnera i złożył zamówienie, posługując się łamaną francuszczyzną, nazywaną na wyspie *patois*. Wkrótce na stole znalazły się potrzebne składniki.

Causton wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes.

– Zapiszę to sobie, jeśli pan pozwoli. Może się przydać.

– Nie ma potrzeby – odparł Wyatt. – Wystarczy zapamiętać krótki wierszyk. Brzmi to tak:

Bierzesz jedną kwaśną część,

Dwie syropu do niej wlej,

Trzy mocnego alkoholu

Cztery wody i gotowe.

– Nie za dobrze się rymuje, ale to wystarczy. Kwaśnym składnikiem jest sok ze świeżych cytryn, słodkim syrop, mocnym rum, najlepiej z Martyniki, a słabym woda z lodem. Wierszyk określa ich proporcje.

Mówiąc to, odmierzał pracowicie poszczególne składniki i mieszał je w dużej srebrnej misie na środku stołu. Poruszał mechanicznie rękami, przyglądając się Julie. Nie zmieniła się, wyglądała tylko bardziej atrakcyjnie, może było tak dlatego, że rozłąka czyni serce wrażliwszym. Wyatt spojrzał na Caustona i zastanawiał się, jaką odgrywa w tym wszystkim rolę.

– Jeśli pojedzie się na Martynikę – wyjaśnił – można samemu przyrządzić sobie „poncz plantatora” w każdym barze. Mają tam tyle rumu, że nie kazał nawet za niego płacić – liczą tylko za cytryny i syrop.

Causton pociągnął nosem.

– Ciekawy zapach.

Wyatt uśmiechnął się.

– Rum trochę cuchnie.

– Dlaczego nigdy tego nie przyrządzaliśmy, Dave? – zapytała Julie, spoglądając z zainteresowaniem na miskę.

– Dotychczas nikt mnie o to nie prosił. – Wyatt po raz ostatni wszystko zamieszał. – Gotowe. Niektórzy dodają do tego mnóstwo owoców, jak do sałatki, ale ja nie lubię napojów, które trzeba zjadać. – Podniósł napełnioną chochlę. – Julie?

Podala mu swoją szklankę i Wyatt nalał jej ponczu. Potem napełnił pozostałe szklanki i powiedział:

– Witamy na Karaibach, panie Causton.

– Wspaniale – stwierdziła Julie. – Takie łagodne.

– Łagodne i mocne – dodał Wyatt. – Niewiele tego trzeba, żeby spaść pod stół.

– To powinien być dobry początek wieczoru – stwierdziła Julie. – Nawet w klubie Maraca powinno nam się spodobać. – Odwróciła się do Caustona. – Mam pomysł. Może pójdzie pan z nami?

– Bardzo dziękuję – odparł Causton. – Zastanawiałem się nawet, co zrobić z tym wieczorem. Miałem nadzieję, że pan Wyatt, jako stary wyspiarz, da mi parę wskazówek, co warto zobaczyć na San Fernandez.

Wyatt spojrzał obojętnie na Julie, po czym rzekł uprzejmie „z przyjemnością”. Był przygnębiony. Miał nadzieję, że Julie przybyła na wyspę z jego powodu, ale najwyraźniej romansowała z innym. Tylko dlaczego, do cholery, przyjechała to robić na San Fernandez?

Okazało się, że Causton jest zagranicznym korespondentem dużego londyńskiego dziennika i przy kolacji zabawiał ich anegdotycznymi historiami ze swego życiorysu. Potem udali się do Maraca, najlepszego nocnego klubu, jaki można było znaleźć w St. Pierre. Prowadził go Grek, Eumenides Papegaikos, który oferował namiastkę atmosfery Ameryki Południowej, zapewniając minimum usług po najwyższej cenie, jakiej tylko mógł zażądać. Jednakże poza Klubem Oficerskim w bazie na Cap Sarat było to jedyne miejsce, gdzie spędzało się wieczór w jako tako cywilizowany sposób, a baza szybko się człowiekowi nudziła.

Kiedy weszli do wypełnionego dymem, słabo oświetlonego pomieszczenia, ktoś pomachał do nich ręką i Wyatt odpowiedział tym samym gestem, rozpoznając Hansena, który ucztował razem ze swą załogą. Z odle-

głego końca sali wydierał się jakiś Amerykanin i nawet z tej odległości można było z łatwością usłyszeć, jak relacjonuje szczegółowo swe ostatnie sukcesy w zawodach wędkarskich. Znaleźli wolny stolik i gdy Causton zamawiał drinki, mówiąc bezbłędną i płynną francuszczyzną, której kelner nie mógł zrozumieć, Wyatt poprosił Julie do tańca.

Zawsze dobrze im się ze sobą tańczyło, ale tym razem byli jacyś sztywni i spięci. Nie mogli za to winić marnej zresztą orkiestry, bo choć grała dziwaczną muzykę, doskonale trzymała rytm. Przez jakiś czas tańczyli w milczeniu, po czym Julie podniosła oczy i powiedziała cicho:

– Widziałeś ostatnio jakiś ciekawy huragan?

– Jeden wystarczy za wszystkie – odparł swobodnie. – A co u ciebie?

– Mniej więcej to samo. Każdy lot podobny do poprzedniego. Te same miejsca, to samo niebo, ci sami pasażerowie. Czasem mogłabym przysiąc, że ludzie podróżujący samolotami należą do innego gatunku niż my, zwykli śmiertelnicy. Na przykład tamten facet, Dawson.

Wyatt wsłuchał się w ochrypły głos, który snuł bez końca opowieść o łowieniu ryb.

– Znasz go?

– A ty nie? – odparła zdziwiona. – To Dawson, ten pisarz; wielki Jim Dawson. Każdy o nim słyszał. Jest jednym ze stałych klientów mojej linii, zresztą cholernie dokuczliwym.

– Słyszałem o nim – przyznał Wyatt.

Julie miała rację: nie istniał na świecie zakątek, gdzie nie znano by nazwiska wielkiego Jima Dawsona. Był podobno całkiem dobrym pisarzem, chociaż Wyatt nie czuł się kompetentny, by to oceniać. Tak w każdym razie zdawali się uważać krytycy.

Spojrzał na Julie i powiedział:

– Za to towarzystwo Caustona najwyraźniej ci nie przeszkadza.

– Lubię go. Jest jednym z tych uprzejmych, niewzruszonych Anglików, o których zawsze się czyta. No wiesz, spokojni ludzie, ukrywający głębokie wnętrza.

– To twój stały klient?

– Spotkałam go pierwszy raz podczas ostatniego lotu. Nie spodziewałam się bynajmniej zobaczyć go tutaj, na San Fernandez.

– Za to wyraźnie wychodzisz ze skóry, żeby czuł się tu jak w domu.

– To tylko gościnność. Opieka nad przybyszem, który znalazł się w obcych stronach. – Julie spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oczach.

– Coś podobnego! Zdaje się, że pan Wyatt jest zazdrosny!

– Może i byłbym – odparł bez ogródek – gdybym tylko miał o co.

Julie spuściła wzrok i nieco pobladła. Tańczyli w upartym milczeniu, aż orkiestra przestała grać i mieli już wracać do stolika, gdy Julie została porwana przez rozochoczonego Hansena.

– Julie Marlowe! Co robisz w tej spelunie? Podkradam ci ją, mój drogi Davy, ale oddam nietkniętą. – Pociągnął Julie na parkiet, tańcząc wymyślną rumbę, zaś Wyatt wrócił niechętnie do Caustona.

– Mocny trunek – stwierdził Causton, podnosząc pod światło butelkę i machając nią. – Ma pan ochotę?

Wyatt przytaknął. Przyglądał się, jak Causton napełnia mu szklanekę, po czym nagle zapytał:

– Jest pan tu w interesach?

– Na Boga, nie! – zaprotestował Causton. – Miałem zaległy tydzień urlopu, a ponieważ byłem w Nowym Jorku, postanowiłem wpaść tutaj.

Wyatt napotkał przenikliwe spojrzenie Caustona, zastanawiając się, czy mówi prawdę.

– To niezbyt ciekawe miejsce na wakacje – stwierdził. – Na Bermudach byłoby panu lepiej.

– Możliwe – odparł wymijająco Causton. – Proszę mi coś opowiedzieć o San Fernandez. Czy ma jakąś historię?

Wyatt uśmiechnął się kwaśno.

– Taką samą, jak wszystkie wyspy na Karaibach – ale jest i coś więcej. Najpierw należała do Hiszpanów, potem do Anglików, a na koniec do Francuzów. Francuzi zrobili tu największe wrażenie, widać to po języku, chociaż spotyka się tubylców, którzy używają nazw St. Pierre, San Pedro i Peter's Port, a tutejszy dialekt stanowi najdziwniejszą mieszaninę, jaką mógł pan kiedykolwiek słyszeć.

Causton smętnie pokiwał głową, przypominając sobie, jak trudno mu było porozumieć się z kelnerem.

– Kiedy Toussaint i Cristophe wypędzili Francuzów z Haiti na początku dziewiętnastego wieku – kontynuował Wyatt – miejscowa ludność uczyniła to samo tutaj, choć bez takiego rozgłosu.

– Hm – mruknął Causton. – Jak powstała amerykańska baza?

– Stało się to na początku naszego stulecia – wyjaśnił Wyatt. – Mniej więcej w tym czasie Amerykanie zaczęli napinać mięśnie. Doszli do wniosku, że są dość silni, by wprowadzać w życie doktrynę Monroe'a i mieli właśnie za sobą parę wojen, które tego dowiodły. Sporo się mówiło o „oczywistym przeznaczeniu” i jankesi uważali, że mają wielki braterski obowiązek kontrolowania interesów innych narodów w tej części świata. W 1905 roku na San Fernandez panowało spore zamieszanie z powodu rozruchów i krwawej rewolucji, wysłano więc tam desant piechoty mor-

skiej. Do roku 1917 wyspa była zarządzana przez Amerykanów. Potem wycofali się, pozostając jednak na Cap Sarrat.

– Czy coś podobnego nie zdarzyło się również na Haiti?

– To dotyczyło większości wysp: Kuby, Haiti, Dominikany.

Causton szeroko się uśmiechnął.

– W Republice Dominikany działo się tak niejeden raz. – Pociągnął łyk ze szklanki. – Przypuszczam, że baza na Cap Sarrat jest użytkowana na mocy jakiegoś porozumienia?

– Chyba można to tak określić – zgodził się Wyatt. – W 1906 roku Amerykanie wzięli ten teren w dzierżawę za tysiąc dolarów w złocie rocznie. Wtedy była to niezła suma, ale dewaluacja nie sprzyja interesom San Fernandez. Prezydent Serrurier dostaje obecnie 1693 dolary. – Wyatt zamilkł, dodając po namyśle: – I dwanaście centów.

Causton stłumił śmiech.

– Niezły biznes dla Amerykanów, może tylko trochę nieuczciwy.

– Tak samo postąpili na Kubie z bazą Guantanamo – stwierdził Wyatt. – Castro dostaje dwa razy tyle, ale sędzę, że wolałby mieć Guantanamo bez Amerykanów.

– Na pewno.

– Marynarka wojenna próbuje uczynić z Cap Sarrat drugie Guantanamo na wypadek, gdyby Castro uniósł się honorem i odebrał im je. Moim zdaniem istnieje możliwość, że to nastąpi.

– Owszem – przyznał Causton. – Nie sędzę, żeby potrafił odebrać je siłą, ale przy sprzyjających układach politycznych wystarczyłyby moralny szantaż.

– W każdym razie mają Cap Sarrat – ciągnął dalej Wyatt. – Ale to miejsce nie może się równać z Guantanamo. Zatoka Santego ma płytkie kotwiczowisko, wpłynie tam co najwyżej lekki krążownik, i trzeba by dwudziestu lat oraz kilkuset milionów dolarów, żeby urządzenia bazy były choć w przybliżeniu takie, jak w Guantanamo. Jest natomiast bardzo dobrze wyposażona jako ośrodek lotnictwa. Właśnie dlatego mieści się tam nasze centrum badań nad huraganami.

– Panna Marlowe wspominała mi o tym... – zaczął Causton, ale przerwał mu powrót Hansena i Julie, skorzystał więc z okazji, by poprosić ją do tańca.

– Nie zaproponujesz mi drinka? – upomniął się Hansen.

– Obsłuż się – odparł Wyatt, zauważając, że do sali wchodzi Schelling z jeszcze jednym oficerem. – Powiedz mi, Harry, jakim cudem Schelling został dowódcą w waszej marynarce?

– Nie mam pojęcia – odparł Hansen siadając. – Pewnie musi być dobrym meteorologiem, bo oficer z niego taki, jak z koziej dupy trąba.

– Nie jest za dobry, co?
– Do diabła, oficer musi umieć dowodzić ludźmi, a Schelling nie nadaje się nawet na drużynową zastępu harcerek. Musi zawdzięczać awans swojej specjalności.

– Pozwól, że ci coś opowiem – powiedział Wyatt i zrelacjonował Hansenowi swą poranną rozmowę z Schellingiem. Na koniec dodał: – Uważa, że meteorologia jest nauką ścisłą i że wszystko, co mówią podręczniki, to świętość. Tacy ludzie mnie przerażają.

Hansen roześmiał się.

– Dave, trafiłeś na typ oficera, jakiego wcale nietrudno spotkać w starej, dobrej marynarce Stanów Zjednoczonych. W Pentagonie aż się od nich roi. Trzyma się podręczników tylko i wyłącznie z jednego powodu: w ten sposób nikt mu nigdy nie zarzuci pomyłki, a oficer, który nie popełnia błędów, to dobry, bezpieczny współpracownik.

– Bezpieczny! – Wyatt prawie zaniemówił. – Jest w tej robocie równie bezpieczny jak grzechotnik. Ten facet odpowiada za życie ludzi.

– W jakimś momencie dotyczy to większości oficerów marynarki – stwierdził Hansen. – Posłuchaj, Dave, pozwól, że ci poradzę, jak postępować z takimi facetami jak Schelling. Ma ograniczony umysł i nie zdołasz się przez niego przebić, jest zbyt twardy. Trzeba więc obejść go boki.

– Będzie to dla mnie dość trudne – przyznał Wyatt. – Nie mam żadnej pozycji. Nie należę do marynarki, nie jestem nawet Amerykaninem. To on przesyła raporty do Instytutu Meteorologii i jemu uwierzą.

– Jesteś tym wszystkim mocno zdenerwowany, prawda? O co właściwie chodzi?

– Sam nie wiem, do diabła – przyznał Wyatt. – Mam po prostu dziwne przeczucie, że stanie się coś złego.

– Martwisz się z powodu Mabel?

– Chyba tak. Nie jestem do końca pewny.

– Ja też byłem zmartwiony, kiedy wyrwałem się z jej objęć – stwierdził Hansen. – Ale teraz już się nią nie przejmuję.

– Wiesz, Harry, urodziłem się w tych stronach i widywałem różne dziwne rzeczy – powiedział Wyatt. – Pamiętam z dzieciństwa, jak podano nam kiedyś wiadomość, że nadciąga huragan, ale nic nam nie grozi, bo przejdzie o trzysta dwadzieścia kilometrów od Grenady. A więc nikt się nim nie przejmował, oprócz ludzi z gór, których zresztą wcale nie ostrzeżono. Jest wśród nich wielu Indian Karibi, żyjących na Karaibach od tysięcy lat. Zabezpieczyli domostwa i okopali się w ziemi. Kiedy huragan dotarł do Grenady, skreślił pod kątem prostym i o mało nie zatopił wyspy. I skąd ci ludzie z gór wiedzieli, że tak się stanie?

– Mieli przeczucie – stwierdził Hansen. – I dość rozsądku, żeby się nim kierować. Mnie też się to zdarzyło. Lecąc kiedyś w chmurze poczułem, że coś jest nie tak, więc pchnąłem drążek trochę do przodu i zmniejszyłem wysokość. Okazało się, że jakiś samolot pasażerski leciał po moim kursie. Minał mnie o włos.

Wyatt wzruszył ramionami.

– Jako naukowiec powinienem brać pod uwagę dane empiryczne, a nie przeczucia. Nie pokażę przecież Schellingowi tego, co czuję.

– Do diabła z Schellingiem! – zachnął się Hansen. – Myślę, Dave, że każdy poważny naukowiec kieruje się intuicją. Nadal uważam, że powinienś obejść Schellinga. Może spotkałbyś się z dowódcą eskadry?

– Zobaczę, jak Mabel będzie się jutro zachowywać – stwierdził Wyatt.
– Chcę się przekonać, czy jest naprawdę niegrzeczna.

– Nie zapominaj, co do niej czujesz – przypomniał Hansen.

Zza pleców Wyatta rozległ się chłodny głos Julie.

– Naprawdę coś czujesz do tej niegrzecznej Mabel?

Hansen roześmiał się i próbował wstać od stołu, ale Julie powstrzymała go ruchem ręki.

– Padam już z nóg, a poza tym jeszcze nic nie piłam. Przesiedźmy ten kawałek. – Obrzuciła Wyatta spojrzeniem. – Kim jest ta Mabel?

Hansen stłumił śmiech.

– To jedna z dziewczyn Dave’a. Ma ich na pęczki. Pamiętasz, Dave, tę Isobel sprzed roku? Nieźle się z nią zabawiłeś.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, trochę szorstko się z tobą obeszła – stwierdził Wyatt.

– Ale się jej wymknąłem.

Causton strzelił palcami i powiedział, zrozumiawszy nagle, o co chodzi:

– Mówicie o huraganach, prawda?

– Dlaczego musicie im nadawać żeńskie imiona? – spytała kwaśno Julie.

– Bo łatwo je zapamiętać – odparł Wyatt z kamienną twarzą. – I bardzo trudno zapomnieć. O ile wiem, Stowarzyszenie Klubów Kobięcych Ameryki zgłosiło protest do Instytutu Meteorologii, ale został on odrzucony. Jedna wygrana runda w walce płci.

– Chętnie przyjrzałbym się pańskiej pracy – oznajmił Causton. – Oczywiście, z zawodowego punktu widzenia.

– Sądziłem, że jest pan na urlopie.

– Dziennikarze nigdy nie mają prawdziwych wakacji, a wiadomości zdobywa się wszędzie.

Wyatt stwierdził, że właściwie darzy Caustona sympatią.

– Nie widzę powodu, żeby nie mógł pan wpaść do nas do bazy – powiedział.

Hansen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Schelling nie będzie miał nic przeciwko temu. Uwielbia reklamę; oczywiście odpowiednią.

– Postaram się nie pisać niczego niestosownego – obiecał Causton. – Kiedy mógłbym przyjechać?

– Może jutro o jedenastej? – zaproponował Wyatt, po czym zwrócił się do Julie: – Interesują cię moje huragany? Może byś też wpadła? – Zabrzmiało to zupełnie bezosobowo.

– Bardzo dziękuję – odparła tym samym tonem.

– A więc umowa stoi – podsumował Causton. – Zabiorę pannę Marlowe ze sobą. Wynajmę samochód. – Zwrócił się do Hansena: – Macie w bazie jakieś problemy z władzami wyspy?

Oczy Hansena stały się na moment czujne, ale po chwili zapytał leniwie:

– W jakim sensie?

– Przypuszczam, że Amerykanie nie są tu szczególnie popularni. Wiem też, że Serrurier to twardy facet, który prowadzi brutalną grę i nie przebiega za bardzo w środkach. Prawdę mówiąc, słyszałem historie, od których cierpła mi skóra, a nie jestem szczególnie bojaźliwy.

– Nie wtrącamy się w ich sprawy, a oni w nasze – odparł krótko Hansen. – To rodzaj niepisanej umowy. Chłopcy z bazy podlegają w tym względzie żelaznej dyscyplinie. Zdarzyło się parę incydentów, ale dowódca zareagował surowymi sankcjami.

– Jakiego rodzaju... – zaczął Causton, lecz jego pytanie zagłuszył grzmiący głos:

– Ejże, czy nie była pani stewardesą w samolocie, którym leciałem do Portoryko?

Wyatt podniósł wzrok, znalazłszy się w cieniu masywnej postaci Dawsona. Spojrzał na Julie, której twarz opromienił nagle służbowy uśmiech.

– Zgadza się, panie Dawson.

– Nie spodziewałem się tu pani spotkać – ryczał Dawson. Wydawało się, że nie potrafi mówić normalnym, spokojnym głosem, ale mógł to być skutek nadużycia alkoholu. – Może byśmy strzelili sobie po jednym? – Wykonał szeroki gest. – Wszyscy się napijmy!

– Ja teraz stawiam, panie Dawson – odparł spokojnie Causton. – Napije się pan ze mną?

Dawson pochylił się i spojrzał na Caustona, lekko zezując.

– Czy ja skądś pana nie znam?

– Chyba się już spotkaliśmy. W Londynie.

Dawson wyprostował się i odszedł na bok, aby lepiej się Caustonowi przyjrzeć. Zastanawiał się przez chwilę z dość głupawą miną, po czym strzelił palcami, mówiąc:

– Zgadza się. Znam pana. Jest pan jednym z tych przemądrzałych reporterów, którzy mi dopieklili, kiedy w Londynie wyszła „Zabawa z ogniem”. Wie pan, nigdy nie zapominam twarzy. Był pan jednym z tych facetów, którzy przyszli do mnie na kielicha, a potem wbili mi nóż w plecy.

– Nie pamiętam, żebym wtedy coś pił – zauważył pojednawczo Causton.

Dawson sapnął głośno.

– Nie sądzę, żebym miał ochotę się z panem napić, panie... jakkolwiek się pan tam nazywa. Starannie dobieram sobie towarzystwo. – Zachwiał się i zerkając na Julie, dodał: – W odróżnieniu od niektórych osób.

Wyatt i Hansen zerwali się na równe nogi, ale Causton powiedział ostro:

– Siadajcie i nie róbcie z siebie głupców.

– A niech to diabli – wymamrotał Dawson, przeciągając po twarzy wielką dłonią. Odszedł niepewnym krokiem, przewracając po drodze krzesło i kierując się do toalety.

– Nieprzyjemny facet – stwierdził kwaśno Causton. – Przepraszam za ten incydent.

Wyatt podniósł przewrócone krzesło.

– Sądziłem, że jest pan zagranicznym korespondentem?

– Bo jestem – odparł Causton. – Ale parę lat temu byłem w Londynie, kiedy połowę zespołu rozłożyła grypa, pomagałem im więc jakiś czas przy redagowaniu lokalnych wiadomości. – Uśmiechnął się. – Nie jestem krytykiem literackim, napisałem więc tekst o człowieku, a nie o pisarzu. Dawsonowi ani trochę się to nie spodobało.

– A mnie ani trochę nie podoba się Dawson – stwierdził Hansen. – Typowy „paskudny Amerykanin”.

– O dziwo, jest dobrym pisarzem – przyznał Causton. – W każdym razie podobają mi się jego książki. Podobno krytycy też bardzo pochlebnie się o nim wyrażają. Problem w tym, że zdaniem Dawsona spuścizna papy Hemingwaya spadła na jego barki, a na mój gust nie bardzo mu to pasuje.

Wyatt spojrział na Julie.

– Mocno ci się naprzykrzał? – zapytał cicho.

– Stewardesy potrafią się obronić – odparła lekceważąco, zauważył jednak, że wcale się nie uśmiecha.

Całe zdarzenie wyraźnie popsło im wieczór. Julie nie miała już ochoty tańczyć, wyszli więc dość wcześnie. Wyatt odwiózł ją i Caustona do hotelu Imperiale, a potem miał podrzucić Hansena do bazy.

Utknęli niemal od razu na Place de la Liberation Noire. Przeciął im drogę dudniący konwój wojskowych ciężarówek, za którymi maszerował batalion piechoty. Żołnierze uginali się pod ciężkimi plecakami, a ich czarne twarze lśniły w świetle ulicznych latarni jak licowana skóra.

– Tubylcy mają niespokojną noc – stwierdził Hansen. – Ci chłopcy są gotowi do walki. Coś musiało się zdarzyć.

Wyatt rozejrzał się wokół. Na rozległym placu, zatłoczonym zwykle nawet o tak późnej porze, nie było nikogo prócz grupek policjantów i nie-trudnych do rozpoznania cywilnych agentów służby bezpieczeństwa Serruriera. Zamiast radosnego gwaru, który wypełniał na ogół tę dzielnicę, słyszało się tupot nóg maszerujących ludzi. Zamknięto wszystkie kawiarnie i puszczano żaluzje w oknach. Na placu było ciemno i ponuro.

– Coś się dzieje – zgodził się Wyatt. – Już tak raz było, sześć miesięcy temu. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, z jakiego powodu.

– Serrurier zawsze był nerwowym facetem – stwierdził Hansen. – Boi się własnego cienia. Podobno od ponad roku nie opuszcza prezydenckiego pałacu.

– Pewnie znowu coś mu się przyśniło – orzekł Wyatt.

Kolumna maszerujących żołnierzy zniknęła im z oczu, wcisnął więc sprzęgło i objechał plac, mijając potwornie heroiczny spiżowy pomnik Serruriera, po czym znalazł się na szosie prowadzącej do bazy. Przez całą drogę na Cap Sarrat myślał o Julie i o jej zachowaniu.

Myślał też trochę o Mabel.